

*** A Distributed Proofreaders Canada eBook ***

This eBook is made available at no cost and with very few restrictions. These restrictions apply only if (1) you make a change in the eBook (other than alteration for different display devices), or (2) you are making commercial use of the eBook. If either of these conditions applies, please check with an FP administrator before proceeding.

This work is in the Canadian public domain, but may be under copyright in some countries. If you live outside Canada, check your country's copyright laws. **If the book is under copyright in your country, do not download or redistribute this file.**

Title: Bez przewodnika

Date of first publication: 1908

Author: Cecylia Niewiadomska (1855-1925)

Date first posted: May 11 2011

Date last updated: May 11 2011

Faded Page eBook #20120101

This ebook was produced by: David T. Jones, Michal Yablonski & the Online Distributed Proofreading Canada Team at <http://www.pgdpCanada.net>

BIBLIOTEKAZKA MŁODZIEŻY SZKOLNEJ 38

C. NIEWIADOMSKA
BEZ PRZEWODNIKA

WARSZAWA

NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓLKA
1908

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓLKI.

I.

—Wierzysz, że nam się nie śni?

Szczupły i blady chłopiec w szkolnej bluzce podniósł na brata zdziwione spojrzenie wielkich, niebieskich oczu.

Starszy chłopiec, czarnooki, śniady i opalony, zniecierpliwiał się widać brakiem odpowiedzi.

—Cóż, milczysz? — rzekł porywczo. — Czternaście lat skończyłeś, a zdaje ci się chyba, że nie masz jeszcze siedmiu, i żeś powinien być niemy, jak ryba. Teraz nie wiem doprawdy, skąd ci się wzięła odwaga wypowiedzenia stryjowi, że zgadzasz się na jego projekt, a raczej, że masz ochotę zobaczenia morza po sześciokrotnym spędzeniu lata w Zakopanem. Takie natury, jak twoja, na nic zdobyć się nie potrafią, nawet na prostą szczerłość.

Blada twarz młodego chłopca pokryła się lekkim rumieńcem, lecz w jasnych jego oczach nie było gniewu ni urazy.

—Nie gniewaj się, Janku — zaczął trochę nieśmiałym głosem, ale widząc, że brat wygląda przez okno wagonu, nie dokończył nawet zdania.

Po chwili Janek usiadł znów na ławce, spojrzał na brata niezwykle łagodnie, jak gdyby pragnął zatrzeć poprzednie wrażenie, i zapytał dość miękko.

—Głodny jesteś?

—Pić mi się chce — odparł Tadek — ale zaczekam do Chabówki.

—Do Chabówki! Dobry sobie! Jakbyś nie wiedział o tem, że do Chabówki jeszcze z półtorej godziny. Ale tybyś się wyrzekł jedzenia i picia, byle nie mieć kłopotu. Powiadam ci, Tadek, co ty na świecie zrobisz? Dobrze, póki jesteśmy razem, i wiesz, że za ciebie myślą brat, ojciec, siostra, no, ale jesteś mężczyzną, masz być w przyszłości opiekunem swojej rodziny i co ty poczniesz wtedy?

Tadek zarumienił się znowu po same włosy i spoglądał na brata łagodnym, proszącym wzrokiem, ale na odpowiedź się nie zdobył. Janek ruszył też ramionami i sięgnął po koszyczek, umieszczony na półce.

—Co to? — rzekł, wydobywając z niego dość dużą butelkę.

—To woda z czerwonym winem — cicho odpowiedział uczeń.

—Czemuż się nie napijesz?

—E, nie... tam już niewiele... ty możesz mieć pragnienie...

—Co? — zawołał Janek z oburzeniem — będziesz się męczył pragnieniem i kwasiał tę trochę wody do samego Zakopanego, bo — ja mogę jej potrzebować! Czy wiesz, jak się nazywa takie postępowanie?

—Pewnie niedołęstwo — rzekł Tadek z łagodnym uśmiechem.

Janek zmieszał się trochę odpowiedzią brata, ale spostrzegł się prędko.

—A widzisz — rzekł — sam uznajesz, czy myślisz, że mnie przyjemnie tak ciągle cię strofować i nazywać po imieniu twoje wady? Ale to dla twego dobra, — święty straciłby resztę cierpliwości z twoją biernością. Tak! nie! chcę! nie chcę! krzycz, pchaj się, żądaj; — a ty wiecznie milczysz, myślisz i ze wszystkim się zgadzasz, — ja tego znieść nie mogę. No, pij.

—Dziękuję.

—Nie chcesz?

—N-nie, już nie chcę.

—To wypiję; na widok tego nektaru sucho mi się w gardle zrobiło. Za twoją — energję.

Tadek się uśmiechnął.

—Przynajmniej na ten tydzień zdobądź że się na jakąś wolę — prawił dalej Janek, ogryzając udko kurczęcia — pamiętaj, że od naszego sprytu i energii zależy powodzenie całej sprawy. Znasz stryja: nie wrócimy na czas, to sam pojedzie, dnia jednego dłużej nie zaczeka. A choć to niby nic odnaleźć Zośkę w Zakopanem i zabrać ją razem z ciocią, ale nie mamy jej adresu, a te panie wcale nas się nie spodziewają. Mogą być na jakiej wycieczce, może trzeba je będzie gonić, a czas płynie. W Zakopanem znamy już wszystko, a morza nikt z nas nie widział, i pewno nieprędko zdarzy nam się taka sposobność, więc nie chciałbym po tylu nadziejach zostać na koszu, z niczem!

—Trzeba się będzie zaraz dowiedzieć o nie w klimatyce ^[1], muszą tam być zameldowane i znajdziemy je w godzinę po przybyciu na miejsce.

—Właśnie podług twojej teorji! Czy nie wiesz, że przyjedziemy koło siódmej wieczorem i klimatyka będzie już zamknięta? Ja myślę, że tylko przypadkiem tego samego dnia spotkać możemy je na Krupówkach, a na dobre trzeba zacząć poszukiwania nazajutrz od rana. Wyobrażam sobie zadziwienie cioci, bo nie spodziewa się nas wcześniej, niż za dwa tygodnie. Nie mogła naturalnie przeczuć projektu stryja, zgody ojca, misji ^[2] naszej i zamierzonego porwania.

—Chabówka! — szepnął Tadek z rozpromienioną twarzą.

Janek zerwał się z miejsca.

—Chwała Bogu. A to prędko! Zamknij koszyk, zwiń paski, te zapasy chyba zostawimy? Co zrobić z tą butelką? A walizka? gdzie walizka? acha, jest wszystko? Hej, jest tam kto? Po rzeczy! — wołał, wychylając się z okna.

—A podajcie mi te węzłki, to je wnet na wózek włożę. Pięknie pojedziemy, grzecznie, podług taksy ^[3], wesoło.

Tak zachęcał młody góral, stojąc przed oknem wagonu, a Janek też bez namysłu zaczął mu podawać tłumoczeki.

—Podług taksy pojedziesz? — spytał tylko wyraźnie.

—Podług taksy, toć mówię, a grzecznie, a wesoło, pierwsi staniemy w Zakopanem.

—A to co, nie wiesz, że wam tu nie wolno? — dał się słyszeć surowy głos jakiegoś urzędnika, zwrócony do górala, który najspokojniej odbierał przez okno pakunki naszych znajomych.

—Goście mię zawołali, zgodzony jestem, umówiony — tłumaczył się sprytny chłopak, podając Jankowi książeczkę, w którą zaopatrzone jest każdy z miejscowych właścicieli wózków.

—Tak jest — potwierdził Janek — umówiłem tego człowieka. To już wszystko. Idźcież sobie, a my przyjdziemy zaraz, tylko zjemy obiad.

—Chodź — zwrócił się do brata — widzisz, co to znaczy energia: góral zabrał rzeczy wprost z wagonu i nie potrzebujemy płacić za przenoszenie osobno.

—Żeby tylko miał dobrego konia — zwrócił uwagę Tadzio.

—Boisz się, że przez litość będziesz szedł piechotą? Nie bój się, dobrze z oczu patrzy chłopakowi, jestem pewny, że ma konika, aż miło.

—Wiesz — zauważył Tadzio z nagłym błyskiem w oczach — one się pewnie na Kościeliskiej umieściły. Ciocia i Zosia lubią tę cichą ulicę, trochę już za wsią, z widokiem na góry i łąki, no, i tamtędy droga do Kościeliskiej doliny, gdzie bywają przynajmniej raz na tydzień. Pamiętasz, jak marzyliśmy, żeby w Kościeliskiej mieszkać?

—To wy z Zosią, co do mnie, choć przyznaję, że doliny równie pięknej nie widziałem, — nie jestem pustelnikiem, aby mi wystarczała natura. Dobre to zresztą w pogodę, ale w deszcz...

—Też pięknie, Janku, choć inaczej, ale pięknie: ten wezbrany biały potok, te płaczące skały, szare niebo, i cisza, i samotność, wszystko piękne.

—A no, może takie życie byłoby najstosowniejsze dla twego usposobienia, choć nie! rozmazgałbyś się tam do reszty i został skończonym niedołągą. Czasy pustelników minęły, mój drogi, pomyśl tylko o zimie, jakby ci tam było, bez ludzi, bez dróg, jak w grobie.

—W pięknym grobie, gdzie żyć można. Nieraz blisko krzyża Pola wybierałem sobie miejsce na jaskinię, rozmyślałem, czemu bym się żywił, jakbym sobie urządził życie. Bo tego jestem pewny, że nigdy, nigdy w życiu nie napatrzyłbym się do syta piękności tego ustronia, nie nasłuchał szumu potoku, nie nacieszył się ciszą, w której tak dobrze myśleć i słuchać i przeczuwać...

Twarz chłopca zapłonęła dziwnym blaskiem, oczy jaśniały mu niby natchnione, widać było, że każde słowo — może bez woli i bez wiedzy jego — płynie mu prosto z duszy, z gorącego serca.

Lecz Janek niecierpliwie wzruszył ramionami.

—Głód wyleczyłby cię prędko z tych zachwyków — rzekł z lekceważeniem. — Górale uciekają na zimę z Kościeliskiej.

—Bo góral sobie nie wystarczy, książka i myśli nie zastąpią mu ludzi; a co do głodu, mógłbym mieć owoce i zapasy zboża.

—A prędko ta pojedziemy do Zakopanego?

Uśmiechnięty góral stał o parę kroków i patrzył na rozmawiających. Janek zerwał się pierwszy.

—A to jedźmy — zawołał. — Dobrego masz konia?

—Ho, ho, takiej parki nie znajdzie w Zakopanem. Z wiatkiem se śmigniemy, przed wieczorkiem będziemy!

I pokazał białe zęby.

—A nie poczęstujecie to paniczu, górala?

Janek skinął na chłopca.

—Daj butelkę piwa.

—I jedźmy.

Góral pospieszył pierwszy, zapinając serdak, bo wiatr chłodny powiał i wesołe słońko zasępiło się jakoś. Za chwilę stanął przy dość dużym wózku parokonnym, jak wszystkie pokrytym białym płótnem, z jednego boku podciągniętem w górę.

—A to twój wózek? — rzekł zdziwiony Janek.

—A co?

—A cóż nie powiedział, że parokonny? Co nam po tem? Dwa razy tyle płacić, 6 guldenów! Czy tyle rzeczy mamy? Ja nie chciałem parokonki.

—A toć mieliście książeczkę — zauważył góral.

Janek się zaczerwienił i spochmurniał. Istotnie zrobił głupstwo, nie spojrzawszy nawet w książeczkę, on, co tak chętnie innym wytykał omyłki. Niema o czem mówić, góral prawdopodobnie byłby znalazł pasażera, a jeżeli ich podszedł, to nadzwyczaj zręcznie: oddał przecież książeczkę.

—Siadajmy — rzekł do brata krótko.

Góral poprawił koniom czerwone szaliki przy chomontach, ściągnął lepiej w górę płótno, przetarł dłonią ceratowe siedzenie i zręcznie dostał się na wózek.

—Wesoło pojedziemy — rzekł, zwracając się znów do chłopców — co tam będziecie żalowali parę guldenów, i góral przecie też zarobić musi.

I zaśpiewał po góralsku, dziwnym, przydechowym głosem, podobnym do niskiego krzyku, w którym trudno rozróżnić wyrazy:

Góry nasze, góry, — moje wy komory,

Oj, bukowe listeczki, — moje poduszcзки.

Większość wózków już odjechała, zapóźnione potoczyły się długim łańcuchem piękną szosą ku południowi.

Na skřęćie u nóg chłopców padł bukiet żółtych jaskrów. Janek potrącił go dosyć niechęćnie, ale Tadzio wyrzucił centa w stronę małej ręki, która widniała gdzieś z boku przy wózku.

—Uczysz dzieci żebraniny — burknął Janek.

Tadzio milczał.

Drugi bukiet wpadł do wózka. Cent na szosę.

Za trzecim razem Janek z gniewem wyrzucił kwiaty.

Tadzio się zaczerwienił i spojrział na brata, ale nie przemówił ani słowa.



II.

Jasne, wesołe słońce ciekawie zajrzało do pokoju na Chramcówkach, gdzie zatrzymali się nasi znajomi. Pokoik nie był wielki, ale dość wysoki; gładkie, świerkowe ściany lśniły połyskiem atlasu, rzeźbione ramy okna i drzwi przyjemne czyniły wrażenie. Skromne sprzęty zdawały się zupełnie nowe, a wszystko pociągało prostotą i czystością.

—Pogoda — ziewnął Janek — czas nam w drogę, gotowe uciec na jaką wycieczkę.

—Szkoda, żeśmy tu stanęli — zauważył Tadzio — daleko do klimatyki.

—Cóż ci ta klimatyka tak zajechała do głowy? Kpię sobie z klimatyki i żeby cię przekonać, że się bez niej obejdę, wcale tam nie pójdziemy.

—Nie wiem, czy to będzie dobrze — szepnął nieśmiało Tadzio.

—To się dowiesz.

—Nie chodzi mi o podróż i o stryja, ale ojcu byłoby przykro, gdybyśmy Zosi na czas nie przywieźli; taki był uszczęśliwiony z tej naszej wycieczki! To dla niego większa przyjemność, niż gdyby sam mógł nareszcie wyjechać na dłużej w góry.

—Czemu nie mamy przywieźć Zosi na czas? Jeszcze się nie ruszył z miejsca, a już wątpisz o wszystkim, jak gdyby Zakopane było co najmniej Europą. Straszna sztuka odnaleźć tutaj dwie osoby, nawet bez klimatyki! Stryj 10 dni zaczeka, a to przecież wystarczy, chociażby się wybrała na dalszą wycieczkę.

—Już tylko 8, dwa zajęła nam droga.

—Nawet 6, bo dwa także na powrót odliczyć trzeba. Ale to także dosyć.

—Swoją drogą, gdyby to zależało ode mnie, wyciąłbym te wszystkie lasy do jednego drzewka. To mi ozdoba! W Zakopanem gór nie widać. Nie wiem, co sobie ludzie do tych Chramcówek upatryli, najbrzydsza część osady, bez żadnego widoku.

—Gór tylko nie widać — cicho wtrącił Tadzio. — Za to tyle przestrzeni, zieloności, słońca...

—Dla ciebie wszystko piękne — mruknął Janek — na Kościeliską też stąd mila drogi.

—Ja myślę, żebyśmy poszli do Ślimaka. — Dobrze nam u niego było w zeszłym roku, może i tam stanęły.

Za chwilę byli w drodze. Pogardziwszy szosą, przez park świerkowy skierowali się w stronę potoku, przeszli po kładce na brzeg kamienisty, a potem wprost przez łąki na Targową. Dzień był prześliczny, słoneczny, pogodny, niebo bez chmurki pieściło spojrzenie błękitem, na polach kołysały się zboża złociste, świeża zieloność lśniła pod rosą.

Janek zły był, że mu się wszystko podobało. Miał czas napatrzeć się zielonym stokom wystającego Giewontu, Wirchów i Koszytej, czemu go to wszystko znowu nęci? Nawet Gubałówka wabi oko wzorzystą swoją pochyłością, i serce mimowolnie jakimś przyspieszonym tętnem wita starych znajomych i stare widoki.

Ile też skał, kamieni zmyły potoki wiosenne ze śpiących pod śniegiem olbrzymów? Ile szczyb nowych w ich ciałach odwiecznych? Ile zwalonych lasów przez wiatr halny zamknęło drogi? Jakie powstały nowe ścieżki i potoki?

Oj, poszedłby tam w góry, jak co roku, poszedł z ochotą, choć się przyznać nie chce i gniewem tłumi uczucie tęsknoty.

—Poszukamy ich u Ślimaka.

W chacie Ślimaków radość i zdziwienie. To się panie ucieszą, bo się i nie spodziewały tak prędko. A mieszkają od Kacprusia het! precz! trochę na bok w pole, u szwagra, u Liptaka, co wybudował domek nowiusieńki. Nikt w nim jeszcze nie mieszkał, ale się spodobało, że caluśkie góry widać, het, aż za Murań; a domów też niema w bliskości, to i przestronno, zielono i czysto.

Jankowi świeciły oczy, a serce szybko uderzało; ot, jak to trudno dopytać się w Zakopanem o mieszkanie znajomych. Przed godziną wyszli z domu i bez pomocy klimatyki wiedzą, co im potrzeba. Za pół godziny uściskają siostrę i jej

opiekunkę, a jutro lub pojutrze mogą wracać do Warszawy. Stryj ich pochwali i odbęda z nim razem pouczającą podróż morzem z Gdańska do Kopenhagi. Powinni być bardzo radzi.

—Cóż — zwrócił się do brata — nie będzie się czem pochwalić przed stryjem, poszło nam jak po maśle, ośmioletni dzieciak dokazałby takiej sztuki. Chodźmy.

—A nie macie się co spieszyć — mówił Ślimak, wyjmując z ust krótką fajeczkę — bo poszli dzisiaj wszyscy do Morskiego.

—Co? — zawołali obaj chłopcy razem.

—A jakże, o świtanu, Wojtek przecie poszedł pod rzeczy, a Maciej przewodniczy. Toć wiem. Poszło gości ze 12 osób. Starsze kobiety pojechały szosą, a co młodsze to na Zawrat. A wracać mają pozajutro na Waksmundzką, toć nie macie poco do Liptaka chodzić. Zaczekać trzeba.

Bracia patrzyli na siebie.

—A gdzieście stanęli?

—Na Chramcówkach.

—Zapłacicie! — pokiwał Ślimak głową. — Jest tu u mnie izba pusta, gdybyście też chcieli.

—My na parę dni tylko do Zakopanego. Zabierzemy siostrę i wracamy.

Teraz Ślimak się zdziwił.

—A z mieszkaniem? — zapytał. — Toćby Liptak znalazł sobie na całe lato gości.

—Krzywdy mu przecie nie zrobimy.

—To wiadomo, przecie sprawiedliwiście, ale będziecie mieli szkodę.

—Cóż robić.

Wracali ku Krupówkom zamyśleni. Co teraz robić? Czekać trzy dni w Zakopanem? Szkoda czasu. Zwłaszcza w taką pogodę. Bliskie wycieczki mniej nęca: dolinki do siebie podobne, tyle razy w nich byli, a tam w góry, w góry, dalej, aż dusza rwie się.

—Pójdziemy chyba do Morskiego? — zagadnął wreszcie Janek.

—Jutro — dodał Tadzio.

—Rozumie się, że nie dzisiaj. Przecież to całodzienna droga. Tylko wiesz, co ci powiem: co nam po przewodniku? Byliśmy ze sześć razy, a drogę przez Waksmundzką znamy jak własną kieszeń. Powrócimy zaś razem może inną drogą z Maciejem. Prawda?

—Zdaje mi się — rzekł Tadzio — że wybornie pamiętam drogę.

—Tylko nie mów o tem w domu, bo zaczną nam perswadować, straszyć. Bóg wie nie co. Ten się zabił, ten zginął, ten to, tamtem owo. Górale chcą zarobku, inni przez tchórzostwo wierzą wszystkim ich baśniom. Cóż, nie odpowiadasz?

—Zdaje mi się, że znam drogę — powtórzył Tadzio w zamyśleniu.

—A dzisiaj chodźmy na Czerwone Wirchy i wrócimy przez Giewont.

—Zmęczymy się przed jutrem.

—Co to za zmęczenie? Zresztą, siedź sobie w domu, kiedy się obawiasz.

—Nie obawiam się, ale przypomnij sobie, że to męcząca droga, a po pierwszych wycieczkach nogi bardzo bołą.

—To chodź do Czarnego Stawu.

—Czy nie za późno?

—Dziesiąta.

—Musimy coś kupić po drodze, herbaty, cukru, trochę wędliny, tam dostaniemy mleka, to i obiad będzie. Drogę znamy.

—Jeszczeby też. Jak do Saskiego Ogrodu. Swoją drogą rad jestem, że Czarny Staw zobaczę; przykro byłoby jakoś stąd odjechać, nie pozdrowiwszy tego przyjaciela, nie spojrzawszy ani razu na Kościelec, na Zawrat. Dobrze zrobiła Zosia z tą wycieczką. Jutro na noc staniemy u Morskiego; zadziwią się kobieciny, a nam przyjemnie będzie zabrać do Warszawy tę garstkę nowych wspomnień.

—Szkoda, że na Kościeliską czasu już nie będzie.

—Przeczytaj sobie o niej w przewodniku Eljasza, to ci się będzie zdawało, żeś widział.

—Dobrze, żeś mi przypomniał, jutro trzeba wziąć z sobą Eljasza.

—Może masz słuszość, taki przewodnik nie wiele kosztuje.



III.

Nazajutrz o świcie chłopcy cicho i ostrożnie wymknęli się ze swego pokoiku. Nie powiedzieli wczoraj gospodyni o zamiarze wycieczki do Morskiego Oka; wracając z Czarnego Stawu, kupili tylko na drogę butelkę wina, parę funtów szynki i niewielki bochenek chleba, a teraz dołączyli do bagaży nieocenionego Eljasza i sprawiedliwie rozdzielili wszystko na dwie równe paczki.

—Trzeba napisać parę słów do gospodyni, że nie wrócimy na noc — odezwał się Tadzio.

—Poco? — zapytał Janek dość porywczo.

—No, gotowa nas szukać, będzie dużo gadania.

—Hm, to prawda. To napisz: »Idziemy na dalszą wycieczkę, zabawimy dni parę«. Tak, dobrze. A teraz ostrożnie, cicho.

—Poco się z tem kryjemy?

—Poto, że nie mam ochoty słuchać rad, uwag i perswazji. Co komu do tego, gdzie idziemy, co robimy? Tu przecież nie jesteśmy pod niczyją opieką, nie mamy obowiązku zdawać sprawy z naszych czynów i zamiarów.

Podniósł głowę i dumnie spojrzął na brata zgóry, jak człowiek wolny, który żadnej władzy nie widzi i nie uznaje nad sobą. Tadzio się zarumienił; widocznie był jeszcze dzieckiem, bo samodzielność taka przerastała jego odwagę. Lecz Janek wie, co robi.

Wiedział naturalnie, brat przyznawał mu to w duszy, kąpiąc się w świeżem i lekkim powietrzu, w jasnych promieniach słońca, podziwiając piękność nieba, gór i ziemi. I jak im dobrze samym. Poco tu przewodnik? Czyż nie znają dokładnie drogi? Jeszcze też takiej drogi: przez Waksmundzką! Ale już tę wybrali, żeby stanąć na czas, posłuchali rozsądku.

—Pójdziemy przez Kozieniec — proponuje Tadzio.

—Naturalnie — potwierdził Janek. — Stamtąd powitamy góry w blaskach wschodzącego słońca. Niema w całym Zakopanem piękniejszego widoku; gdybym sobie kiedy stawiał tutaj willę, to tylko na Kozieńcu.

Mówił to ze wzrastającym zachwytem na widok piękności natury, odsłaniających się w miarę, jak młodzi nasi podróżnicy wydobywali się z ulic, zamkniętych szeregami domków i willi, na bardziej otwartą przestrzeń. Minąwszy szybko Chramcówki i ulicę Chałubińskiego, koło Muzeum po kładce przeszli potok i zaczęli wstępować na łagodną pochyłość Kozieńca. Widok stąd rzeczywiście był wspaniały: na zachód przestrzeń otwarta, bez końca, wzdłuż łańcucha wirchów i turni ^[4], zamykających widok od południa. W przezroczystem powietrzu góry występowały tak wyraźnie, iż widać było na nich każdą ścieżkę, każdy strumyk, rysujące ich stoki skaliste siecią jasnych gałązek. Tu i owdzie białeły najwyraźniej śniegi, świt różowił szczyty, a skały zdawały się być aksamitne.

—Ach! — szeptał Tadzio — nic piękniejszego nie umiem sobie wyobrazić.

Janek płonącem okiem obejmował wewnątrz otwartego w tem miejscu gniazda gór spiętrzonych: Kopę Królowej, Magurę, Granaty i Żółte Turnie; liczył je, podziwiał, chciałby popłynąć nad nie lotem ptaka.

Nie będziemy deptali w tym roku tych ścieżek, nie będziemy spoczywali w niedostępnych jarach, patrząc w niebo i zapominając o świecie. Dziwny urok mają te góry... Nagle potrząsnął głową.

—Chodźmy — rzekł — tak nie można, nie poto idziemy.

Minęli Bystre, uśpione i ciche, w Jaszczurówce wypili gorące śniadanie, orzeźwili się przyjemną kąpielą i podążyli dalej. Od Cyrli droga już przez las prowadzi, wydeptana co roku stopami podróżnych, lecz nie lękali się zbłądzić: tyle razy szli tędy! Tu nie widać nieba, gór ani słońca, tylko stare drzewa, olbrzymie głązy, spękane, porośnięte mchem zielonym i szarym, — szemrzące strumienie i kwiatów kępy całe: niezapominajki, goryczki, storczyki, pełno barw, woni, aż żal mijać.

A poziomki!

Nie mogli oprzeć się pokusie, aby nie zbierać chociaż najpiękniejszych. Co za wielkość, smak, zapach!

Droga coraz inna i coraz piękniejsza. Od Toporowych Stawów do Psiej Trawki szli więcej niż godzinę. Była już 10-ta, kiedy się zatrzymali na tym pierwszym wypoczynku.

—Wiesz, Janku, że my dzisiaj może nie dojdziemy? — zauważył Tadzio nieśmiało.

Janek ruszył ramionami.

—Pleciesz, jak niedołęga. Straciliśmy trochę czasu, wielka szkoda! Nie będziemy za to robić dłuższych wypoczynków. Ślimak zaszedłby tędy w ciągu dnia na miejsce. Patrz, co ludzi za nami spieszy.

Istotnie, dwa dość liczne towarzystwa zbliżały się do schroniska. Na łączce w jednej chwili zrobiło się gwarno, otwierano butelki, śmiech, żarty, nawoływania rozległy się dokoła.

—Pójdźmy — szepnął Janek do brata.

Tadzio wstał natychmiast i skierowali się znowu ku drodze, gdy nagle otoczyła ich nowa gromadka.

—Janek! Tadzio! A wy tu co robicie o tej porze?

—Felek! Brońcia! Adaś! Ańdzia!

—Skądżeście się tu wzięli?

—Do Morskiego.

—Po Zosię?

—Naturalnie.

—Sami?

—Znamy drogę — zapewniał Janek.

—Chodźcie z nami. Weselej będzie!

Chłopcy nie mieli nic przeciwko temu, pożartowano wprawdzie trochę z ich zapasów i pospiesznego marszu, ale któżby o takie rzeczy obrażał się na przyjaciół? Odtąd istotnie było tak wesoło, że nawet Tadek tylko od czasu do czasu marzącym okiem rozglądał się po krajobrazie.

Na Waksmundzkiej odpoczywali niedługo, gdyż woleli popatrzeć z Suchej na Pieniny, które przy dniu pogodnym rysowały się wyraźnie. W ogóle widok z Suchej był przepyszny, i Bronia tylko narzekała, że ją zwiedziono: wiedzieli przecież, że się obawia przepaści i każą jej przejść ścieżkę, parę stóp szeroką.

—Ależ tu przejechać można — perswaduje Felek.

—A gdybyś nawet spadła, pierwszy krzak by cię zatrzymał.

Ale Brońcia jest blizką płaczu, zamyka oczy, każe się prowadzić, drży cała. Towarzysze tłumią śmiech przez litość.

—No, tu przecie szeroko!

—Nie mogę, nie mogę! Przywiążcie mię do drzewa, bo się stoczę po tej pochyłości.

—Patrz, szynka się nie stacza, chleb leży spokojnie, patrz butelka.

—Ach!

Brońcia zasłoniła oczy, gdyż nieszczęsna butelka nie odpowiedziała wcale zaufaniu swojego opiekuna i stoczyła się w krzaki.

—Cała, cała! — zawołali radośnie Staś i Felek i w mgnieniu oka zsunęli się bokiem ku krzakom, aby pochwycić zbiega.

—Cała szyjka, nawet korek nie wyskoczył, tylko dna i wina brakuje.

Wszyscy się śmieli, wujenka i poważny wuj Stanisław, opiekunowie tego młodego grona; jedna Brońcia drżała. Poradzono jej, aby położyła się na ziemi i w tej dopiero pozycji zdobyła się na odwagę popatrzenia na piękny widok.

—Dajcie reńskiego, a zejść po tej ścieżce prosto het, precz, aż na dół — odezwał się młody góralczyk, świecącymi oczyma patrząc na wystraszone dziewczę.

—Trzymajcie go! — zawołała przerażona Brońcia, i twarz ukryła w dłoniach.

Zejście nie było trudne, Brońcia jednak szła ciągle, prowadzona przez brata i przewodnika, z zamkniętymi oczyma, blada, z wyrazem trwogi i zmęczenia. Dopiero na Gęsiej Szyi uspokoiła się trochę.

—Dziękuję za taką przyjemność — rzekła, siadając na miękkiej, aksamitnej trawie — nie chcę znać Morskiego Oka, ani podobnych awantur.

—Będziesz czekała tutaj naszego powrotu?

—Wstydź się żartować jeszcze! — zawołała Bronka. — Dlaczego nie przeprowadziliście mnie dołem? Mogłam przecież przejść tędy? Pociście mię wlekli na tę skałę?

—Ależ Broniu, to jeden z piękniejszych widoków w Tatrach.

Nie odpowiedziała, czuła się jednak w duszy pokrzywdzoną: piękny krajobraz sprawiał jej przyjemność wtedy, gdy mogła go oglądać z bezpiecznego miejsca.

Tymczasem zaczęto schodzić po dość łagodnej, miękkiej pochyłości góry, pokrytej aksamitną trawą. Nogi ślizgały się po tym kobiercu, stopy bolały od nienormalnego położenia, a końca góry ani widać.

—W zakosy idźcie, w zakosy [5] — nawoływali przewodnicy.

—Ach, chwilę odpoczynku na równym poziomie! — narzekała Brońcia.

—Usiądź i zjedziesz na dół — rzekł wesoło jej brat.

—Pewniebym usiadła, gdybym się nie bała, ale ktoby mnie wstrzymał potem, gdybym się zsuwać zaczęła zbyt szybko?

—Czekaj — rzekł Staś — masz pas mocny? No, to cię przepaszę sznurkiem i będę powstrzymywał. Dalej, jazda.

—Chodźmy naprzód — szepnął Janek — Brońcia strasznie przesadza z tą obawą.

—Ja z wami — odezwała się też cicho Ańdzia. — Ja się nie boję. Żyłabym tu w górach. Kocham niebezpieczeństwa. Uproszę mamy i pójdę z Morskiego na Rysy. Co za rozkosz pomyśleć sobie, że jedno złe stąpienie, a spadnę w głębię bez końca, i zwyciężać te trudy i wdziierać się coraz wyżej, coraz wyżej, aż za chmury, do słońca, do samego nieba i świat widzieć u nóg, pod sobą!

Tadzio westchnął głęboko.

—My jeszcze nie byliśmy na Rysach — rzekł cicho.

—Na przyszły rok — odparł Janek z niemniej głębokim westchnieniem.

—Czemu? — spytała Ańdzia.

—Pić, pić! — rozległy się za nimi głosy. — Zatrzymajcie tam chłopców, co pobiegli naprzód z tobołkami; słońce piecze, jakby nas chciało uwędzić.

Zatrzymajcie tam chłopców! łatwo to powiedzieć. Jak jelenie zbiegli z góry w zakosy, i zniknęli w kierunku drogi do Roztoki. Znaleziono ich dopiero pod Czerwonemi Brzeżkami. Siedzieli w czarnych jagodach, zajadając soczysty owoc, zarastający niezbyt łagodną pochyłość. Uczernili się przytem, jak małe potwory, ale miny rozkoszne mieli po tej uczie.

—Z pół godziny tu już jemy — przechwalali się z zadowoleniem.

Przewodnik gniewał się na nich, że nie trzymają się razem, ale oni słuchając, nie tracili czasu i co chwila podnosili do

ust pełne garście jagód.

—Ach, jak chłodno i miło w ustach — zapewniali.

Goście za ich przykładem rozproszyli się po krzakach i byłby znów spoczynek mimowolny, gdyby przewodnik energicznie nie zaczął naglić do pośpiechu.

—Wszyscy nas wyprzedzili, przyjdziemy ostatni i miejsca w hotelu nie będzie. W Roztoce i tak trzeba odpocząć z godzinę.

—Czy to miasteczko jakie ta Roztoka? — ciekawie pyta Brońcia.

Staś i Felek jednocześnie wybuchnęli śmiechem.

—Miasteczko o godzinę drogi od Morskiego! W sercu gór! Co ty wygadujesz, Bronka?

Ale Brońcia się obraziła i nie chciała słuchać objaśnień.

—To schronisko zapewne? — zapytała Ańdzia.

—Naturalnie, duże schronisko, gdzie i zanocować można, bo jest kilkanaście łóżek. Ale każdą butelkę piwa przywożą tam na osiołku, albo na koniu, jak widziałas nieraz, w drewnianych naczyniach. Ciężka praca nawieźć potrzebnej żywności.

W Roztoce Staś i Felek uparli się zwiedzić koniecznie dzisiaj wodospady Mickiewicza. Poświęcą te pół godzinki ze swego odpoczynku, a Brońcia niech zostanie pod opieką starszych. Ale Brońcia nie chciała i narzekając, jęcząc, poszła jednak z innymi.

Tymczasem słońce dawno skryło się za Mięgoszowieckie, kiedy podróżni nasi ostatnim wysiłkiem przebywali kamienistą i przykrą część drogi pod samem już jeziorem. Wszyscy byli zmęczeni, Brońcia z utęsknieniem upatrywała dachu zapowiedzianego schroniska, Ańdzia nawet szła cicho, mało zwracając uwagi na piękności otoczenia. A hotelu ani śladu, ani śladu jeziora. Czy nie dojdą już nigdy?

Nagle—tuż pod nogami dach, budynek piętrowy, a dalej w cieniu wieczornego zmroku, pod strażą wyniosłego Mnicha, ostrych Rysów i Miedzianego, cicho zasypia poważne jezioro, otulając się zwolna mgłą przejrzystą.

IV.

—Co teraz będzie?

Tadzio milczał zamyślony.

—No, mów, radź, odezwij się, co zrobimy? — wołał Janek, niecierpliwie chodząc po pokoju. — Licho wie, gdzie ich szukać. Zdaje się, że były, ale gdzie poszły dzisiaj? Czy wrócą tu jeszcze? Czy wprost do Zakopanego? Mieszkania nie zamówiły i szukaj wiatru w lesie! No, cóż? Czyś zaniemówił?

—Cóż ja ci poradzę? — odezwał się wreszcie Tadzio. — Prawdę mówiąc, w tej chwili tak mi dobrze, tak miło, że zobaczył znowu to czarodziejskie miejsce, iż nie żałuję niczego, niczego, nawet tego, że ich tu niema.

—Niedołężstwo — szepnął Janek, wzruszając ramionami.

—Przyznaj, Janku, że i ty rad jesteś z tej wycieczki?

—Rad jesteś! No, rad jestem; ale co teraz dalej? Ojciec czeka, stryj czeka, a my tu jak głupcy w lesie. I żebyśmy wiedzieli chociaż, gdzie ich szukać. Ale skąd? Nikt nic nie wie.

—Ślimak mówił, że jutro wrócić mają z wycieczki.

—Mówił, mówił, ale czy wrócą? Niecierpię takiej niepewności, niech raz wiem, co mam robić i na czym się to skończy.

—Ja myślę, że musimy jutro wracać.

—Ty myślisz, ty zawsze myślisz, ty tylko myśleć umiesz! I poco powrócimy, jeśli ich w domu niema? A kto wie, gdzie poszły dalej? Może na węgierską stronę? Może za tydzień wrócą? A my lećmy z powrotem na złamanie karku, żeby się dowiedzieć wkońcu, że o paniach nic nie wiadomo. Niechbym wiedział przynajmniej, że wrócą za trzy dni, tobym poszedł na Rysy, na Mięguszowieckie i byłbym jeszcze na czas, a tak...

—To wiesz, Janku, idź z Felkiem na Rysy, a ja sam wrócę jutro i będę pilnował. Bo ktoś powrócić musi, a jeśli masz ochotę należeć do tej wycieczki, to zostań. Zdążysz jeszcze w sobotę.

Janek spojrzał na brata, chciał coś odpowiedzieć, ale tylko ruszył ramionami i milcząc, rzucił się na łóżko.

Na drugi dzień wstał pierwszy. Właśnie słońce wzeszło, różowe chmurki unosiły się ponad jeziorem, które leżało ciche i majestatyczne, wielkie i poważne pod strażą olbrzymów.

Janek obudził brata.

—Patrz — rzekł z płonąącym wzrokiem.

Obaj wyszli co prędzej i długo patrzyli na ciche fale i błękitną głębię, w której z dziwną wyrazistością odbijały się otaczające ją góry.

—I wracamy — rzekł wreszcie.

Tadzio zabrał resztę rzeczy. Wkrótce opuścili hotel.

—Powracamy przez Liljowe.

—Przez Liljowe? Znasz drogę?

—Nie myślę wiecznie chodzić tą samą drogą. Mam Eljasza i dam sobie radę? A cóż nam się stać może? Ludzi pełno wszędzie, gdybyśmy zbłądzili; zresztą Eljasz wystarczy.

—Wiesz, Janku, jabym radził...

—Nie pytam cię teraz o radę. Chodźmy stąd jak najprędzej, bo chcę uniknąć pytań Felka, Ańdzi i t. d. Skoro będziemy sami i wolni od towarzystwa, przeczytamy uważnie, którądy iść trzeba, a tymczasem aby z hotelu!...

—Aby pogoda była — zauważył Tadzio. — Patrz, jakie białe chmury snują się po górach.

—To _suha_ mgła — dał się słyszeć obok głos górala — z tego deszczu nie będzie.

—Widzisz — zawołał Janek. — Chodźmy tylko.

Suha mgła tego ranka zasnęła dolinę w niezwykłej obfitości, strzępy jej porwane czepiały się po skałach i gałęziach świerków, a niekiedy przejrzystymi mgławicami spływały między drzewa aż ku ziemi, zasłaniając na chwilę widok.

—Słońce to wszystko rozproszy, gdy się podniesie wyżej — zrobił uwagę Janek.

Tadzio nic nie mówił. Skręcili w dolinę koło Miedzianego, podług Eljasza tędy właśnie droga.

Słońce jednak widocznie miało też kłopot z mgłą _suha_, bo napływała zewsząd coraz większymi kłębami, wiła się, snuła, staczała, pękała i znów zrastała w jedną nieprzejrzaną masę, coraz grubszą, ciemniejszą.

—Janku, boję się deszczu — odezwał się Tadzio nieśmiało, przedzierając się przez kosówkę.

—Deszczu się boisz? No, to mi nowina: nie wiedziałem, żeś z cukru.

—Ale nie znamy drogi.

—To sobie przeczytamy.

—Kiedy nic poznać nie można. Widzisz jakie szczyty? Nic nie widać; w jakim sposobie będziemy się orjentowali?

Janek uważnie spojrział dookoła. Istotnie, zalewało ich morze mgły zewsząd. I nic nie było widać, nawet droga kończyła się o kilka kroków.

—Musimy tu przeczekać — odezwał się głośno. — Jesteśmy w chmurze, ale chmura minie i znów słońce zaświeci. Usiądźmy tymczasem, masz co jeść?

—Mam butelkę wina, trochę szynki i chleba. Myślałem, że w Roztoce zjemy porcję jajecznicy.

—Trzeba było nie myśleć, tylko zabrać więcej zapasów.

Tadzio w pokorze wysłuchał nagany.

—Dajno chociaż Eljasza.

Tadzio podał książkę.

—Zdaje się, idziemy dobrze; doliną za Mniczem powinniśmy dojść prosto do Wrót Chałubińskiego, poznamy je z opisu, żeby tylko mgła się rozeszła.

Usiedli na kosówce, z mimowolną trwogą patrząc na zbliżające się ku nim bałwany chmur; wkrótce zaledwie mogli widzieć jeden drugiego.

—To minie — pocieszał Janek.

Istotnie, po dłuższej chwili mgła zaczęła przeświecać, podnosić się w górę, ujrzeni znowu najbliższe kamienie, świerki, lecz dalsze plany zlewały się całkiem z szarem, bezbarwnym niebem. Deszcz drobny padać zaczął.

—Wróćmy się — szepnął Tadzio.

Janek zmarszczył czoło.

—Do Morskiego?

—Chodźmy drogą ku Roztoce. Znamy ją.

—Kiedy się boisz — zaczął Janek po namyśle.

I niechętnie iść zaczął drogą, którą przyszli. Deszcz padał coraz większy, serdaki przemokły im wkrótce, obuwie

rozmiętko także, ruch rozgrzewał ich jednak. Młodość niewiele robi sobie z niepogody, to też zaczęli śpiewać dla dodania sobie humoru:

Wysokieście góry, wysokieście szczyty,
Oj, kto was przewędrował? — góral rodowity.

—Nie pamiętam, która droga: w prawo czy na lewo?

—W prawo — zdecydował Janek.

—Powinniśmy już widzieć Mnicha.

—Co dziś w tej mgle zobaczysz?

—Żeby tylko gdzie Zosi nie zaskoczyła w górach.

Janek spojrział na brata zsuniętymi brwiami, ale rozpogodził się zaraz.

—Mają przewodnika — rzekł uspokojony.

—To prawda, ale zmoknie.

—Deszcz tatrzański nie szkodzi, nie dostanie nawet kataru.

—Patrzno, Janku, z tej góry nie schodziliśmy przecież?

—Tak ci się zdaje? — Musieliśmy ją obejść.

—To może inna droga?

—Przez tę mgłę wszystko się zmienia, ale szliśmy tędy napewno.

—Nie przypominam sobie — szepnął Tadzio.

—Ostrożnie, bo ślizko bardzo, po korzeniach nie stą...

Tadzio skamieniał: Janek krzyknął krótko i zsunął się jak kamień po wilgotnej ziemi, na szczęście niedaleko, lecz prosto w kałużę.

—Wróćmy się — zaczął Tadzio, wzruszony stanem garderoby brata. — To nie ta droga, zbłądziliśmy.

—Więc prowadź.

Wkrótce wiedzieli obaj, że zbłądzili: szli jakąś drogą, zupełnie nieznaną, zalaną wodą w miejscach równych, na pochyłości pokrytą grubym, ostrym żwirem, który zsuwał się razem z nimi. Rozmiękłe i pokrzywione obuwie dokuczało im bardzo, deszcz przemoczył ubranie do bielizny, a droga jak zaklęta wiła się bez końca.

Janek ustał na koniec, oparł się o drzewo, z którego popłynęły nań strumienie wody i przymknął oczy.

—Napij się wina — rzekł Tadzio, podając mu butelkę.

Pił chciwie, długo. Wreszcie podał ją bratu.

—A ty nie pijesz?

—Nie jestem spragniony.

—Cóż poczniemy?

—Która godzina?...

—Wpół do drugiej.

—Przeszło sześć godzin idziemy.

—Aby gdzie zajść przed nocą. Zimno będzie.

Wstrząsnął się, przejęty dreszczem.

—Jesteśmy na ścieżce, więc musi nas gdzieś doprowadzić.

—Masz słuszość — zawołał Janek — póki jesteśmy na ścieżce, niema powodu rozpaczać, wyjdziemy choć na jaką halę czy schronisko.

—Byle przed nocą — dodał Tadzio.

—Do nocy daleko. Posilimy się i odpoczniemy, to nam i siły wrócą.

Na nieszczęście niewiele było tego posiłku: trochę szynki i chleba głód zaspokoilo, ale niezbyt gruntownie, a zapasu już nie zostało żadnego. Popili po łyku wina, żeby mieć trochę na rozgrzanie, bo przez wilgotną odzież chłód czuli coraz dotkliwszy.

—W którymkolwiek idziemy kierunku — odezwał się Janek — zrobiliśmy porządny kawał drogi i musimy być blisko jakiejś ludzkiej osady. Chodźmy tylko, bo zimno.

I szli wytrwale, nie zważając na kamienie, brnąc przez kałuże, zsuwając się po pochyłościach lub wdzierając na strome skały. Aby prędzej. To tylko bieda, że droga dość często dzieliła się na ścieżki, i wybieraj, którą wolisz! To znowu zdawało się, że już noc zapada, tak ciężkie chmury przesuwały się nad ich głowami. Ani widać słońca.

—Która godzina? — dopytywał Tadzio.

—Piąta dochodzi.

Milczeli obydwaj. Myśl, że mogą przepędzić noc pod gołym niebem, bez ognia, bez okrycia ciepłego, na deszczu, zaczęła ich poważnie niepokoić. Droga niby zaklęta ciągnie się i ciągnie, przez lasy, z góry na dół i z dołu do góry, i końca niema. Idą tyle godzin i nie wiedzą, gdzie zaszli. Czują ogromne zmęczenie, a co najgorsza — wzajemną obawę o siebie: Tadzio taki delikatny, zaziębi się napewno, skoro tylko iść przestanie. A nogi zaczynają odmawiać już posłuszeństwa, — i jak iść zresztą wśród ciemności? Chyba prosto w przepaść.

Tadzio znów drży o Janka. Chorował niedawno na zapalenie oskrzeli, co to będzie? co to będzie? Nie osobiwość w nocy spotkać i niedźwiedzia, a zapalek nawet z sobą nie wzięli. Po prostu rozpacz!

—Która godzina, Janku?

—Trzy na siódmą.

—Słońce około 9 zachodzi.

—Nie w górach i nie w dzień pochmurny.

Istotnie, w pół godziny później zrobiło się prawie ciemno. Z każdą chwilą wolniej mogli posuwać się naprzód, widoczne było, że wkrótce stanie się to niepodobieństwem.

—Masz wino? — spytał Janek. — Napij się troszeczkę.

—Nie mogę, mam wstręt do wina.

—Rozgrzejesz się.

—Nie czuję zimna.

—To daj mnie, ja się napiję, wiatr taki chłodny, że ubranie pod nim sztywnieje. Nie mam pojęcia, jak przepędzimy noc bez ognia.

—Żeby choć deszcz nie padał.

Mżyło jednak ciągle, a mgła lekka przybierała fantastyczne kształty. Chłopcy nie śmieli stanąć, czuli, że ruch to ich

jedyny ratunek, ale drogę zgubili dawno. Szli, aby nie stać.

Nagle Janek ryknął jak zwierzę ranione i rzuciwszy się na ziemię, krzychał z całej piersi.

Tadzio przerażony pochylił się nad nim.

—Co ci jest, Janku? Janku! Ja się boję!

Lecz Janek ryczał, aż mu tchu zabrakło.

—Czy cię co boli?

—Wściekam się, szaleję, ja nie chcę tu nocować!

—To nic nie pomoże.

Janek spojrział na brata.

—Może kto usłyszeć.

—Niedźwiedź chyba.

Janek podniósł się uspokojony.

—Więc gińmy, bracie — rzekł zmienionym głosem. — Przebacz mi, to przeze mnie.

Tadzio wybuchnął płaczem i rzucił się bratu na szyję.

—Nie, nie! — zawołał — nie możemy zginąć! Bóg jest dobry, jest miłosierny. Nie chodzi mi o siebie, ale mama, Zosia, ojciec nasz drogi! Nie, Bóg nie pozwoli. Napij się wina, to cię rozgrzeje, skaczmny, ruszajmy się; a potem noc krótka, zaświta może słońce. Nie zginiemy, Janku, nie, nie zginiemy, Pan Bóg nie pozwoli! Co to?

Krzyknął nagle i chwycił mocno rękę brata. — Co to? — powtórzył, ukazując w dali blask jakiś niewyraźny, czerwony i mglisty, niby ogień czy światło. Janek ujrzał je także.

—Bóg miłosierny — szepnął drżącymi ustami.

Światło jednak szczególne przybierało kształty: znikало, gasło, wybuchało znowu, strzelało, słało się po ziemi i niby uciekało. Szli teraz wytrwale, a ono wciąż daleko.

Nakoniec wyraźnie widać postacie ludzkie: ogień się pali na ziemi, a ludzie wkoło dziwne wyprawiają skoki. Jeden przystanął, ujął się pod boki i huknął góralским śpiewem, w którym trudno rozróżnić słowa:

Uczyła mnie matka śpiewać i tańcować,
A ojciec mnie uczył wziąć i dobrze schować, hu, ha!

—Rozbójnicy! — szepnął Tadzio.

Ale Janek potrząsnął głową. Górali dwóch tylko było i dwóch »gości« w serdakach i zakopiańskich beretach. Widocznie odpoczywające towarzystwo.

—Niech będzie pochwalony!

Zwrócono się ku nim.

—Gdzie jesteście? — spytał Janek drżącym głosem, podtrzymując zupełnie wyczerpanego z sił Tadzia.

—A za Mnichem, przy Miedzianem. Toć koleba! — dodał góral, wskazując pierwotny jakiś budynek bez okien, przytulony do skały. A z daleka?

—Z Morskiego.

Gromadka skupiła się bliżej.

—Długo szliście? — spytał góral.

—Od rana.

Wybuch śmiechu górali całą był odpowiedzią, lecz nieznajomi zbliżyli się teraz do chłopców.

—Niech panowie wypoczną — rzekł jeden życzliwie. — Może i przenocujemy w tem schronisku mimo niewygód i zimna, bo nie mamy odwagi kończyć drogi po ciemku, choć przewodnicy z nas żartują. Ale panowie zziębli i przemokli, oto pled suchy, serdak. Wacek, dajno nam koniaku!...

V.

...Na miękkim materacu, pod wełnianym kocem, w czystej, suchej bieliźnie Janek spał snem zdrowym, gdy drzwi znanego nam już pokoiku na Chramcówkach skrzyknęły cicho i Tadzio w mundurku, z wyrazem pomieszania na białej twarzy, stanął w progu.

Powoli drzwi zamknął za sobą i zbliżył się do brata: budzić, czy nie budzić?

Janek otworzył oczy.

—Wstałeś? — spytał zdziwiony.

—Byłem u nich.

—U Zosi?

Chłopiec skinął głową.

—Powiedziałaś?

Tadzio milczał chwilę.

—Gadajże!

—Wróciły pozawczoraj, a wczoraj pojechały do Szczawnicy.

Janek usiadł na łóżku.

—Jakto? Być nie może! I nie czekały na nas?

—Nie wiedziały wcale o naszym przyjeździe. Nie byliśmy u Liptaków, Ślimak nie zawiadomił, Liptakowie zdziwili się, gdy przyszedłem.

Janek wzburzony zaczął chodzić po pokoju. Byłby chętnie zburczał Tadzia, ale jakoś nie mógł, nozdrza mu drżały, czuł swoją winę. Nagle stanął, spojrzął na brata, na niebo, jasne słońce i zwykłym swym gestem wzruszył ramionami. Potem ziewnął i wlaź pod kołdrę.

—Cóż będzie? — spytał Tadzio.

—Zatelegrafuj do stryja: »Zostajemy. Niech stryj lepiej przyjedzie do nas. Dużo tu jeszcze rzeczy do poznania«.

Odwrócił się do ściany, aby zasnąć znowu, ale nie poszło to łatwo, bo rozumiał, że przez jego zarozumiałość i lekkomyślność Zosia, Tadzio i on stracili sposobność poznania morza, a stryjowi i rodzicom sprawił przykrość.

NOTATKI:

Klimatyka — biuro opieki sanitarnej w miejscowościach leczniczych.

Misja — posłannictwo, zadanie.

Taksa — cena ustanowiona.

Wirchy — szczyty, turnie — skały nagie, bezleśne.

W zakosy — w prawo i w lewo na przemiany, zwracając pod kątem ostrym coraz niżej.

[The end of *Bez przewodnika* by Cecylia Niewiadomska]